Stuart Dybek

Wybrzeże Chicago

Dwa Horyzonty

Wybrzeże Chicago

Dwa Horyzonty

seria pod redakcją
Andrzeja Waśki i Johna A. Merchanta

Stuart Dybek

Wybrzeże Chicago

przełożył Marek Król

WYDAWNICTWO
KSIĘGARNIA AKADEMICKA
Tyniec Kraków

Tytuł oryginału
The Coast of Chicago

Pierwsze wydanie
Alfred A. Knopf, Inc., New York, 1990

© Copyright by Stuart Dybek 1981, 1982, 1984, 1989, 1990
© Copyright for the Polish translation by Marek Król, 2024
© Copyright for the Polish edition by Księgarnia Akademicka, 2024

Przekład
Marek Król

Redakcja
Marlena Toczyłowska

Projekt okładki
Marta Jaszczuk

ISBN 978-83-8368-178-8

Publikacja powstała dzięki wsparciu Instytutu Książki

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji i Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

oraz Fundacji im. Ignacego Mościckiego

WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl
https://akademicka.pl

DLA MOICH BRACI, DAVE'A I TOMA

Aż was, zjadacze chleba – w aniołów przerobi

Spis treści

Farwell 11
Chopin w zimie 15
Światła 39
Śmierć prawego zapolowego 41
Kapsle 45
Degradacja 47
Odrzuty 77
Perełka 79
Znajdy 87
Lelki – nocne marki 89
Kobieta, która zemdlała 117
Gorący lód 121
Zguba 159
Mleko PET 161
Posłowie 167
O autorze 171

De toda la memoria, solo vale el don preclare de evocar los suenos

– ANTONIO MACHADO

W całej pamięci wartościowa jest jedna rzecz:
wielki dar przywoływania snów

Farwell

Dziś wieczorem bez przerwy mży, a uliczne latarnie tlą się we mgle niczym świetlne lejki zbierające deszcz. Balkonowe okna kamienicy przy Farwell, w której kiedyś mieszkał mój przyjaciel Babovitch, rzucały refleksy na mokre korty tenisowe, a ja zastanawiałem się, czy kiedykolwiek wyjadę z tego miasta. Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz szedłem tą ulicą, żeby odwiedzić Babo. Prowadził zajęcia z literatury rosyjskiej, na które się zapisałem, i kiedyś zaprosił mnie do siebie. Nigdy wcześniej żaden wykładowca mnie do siebie nie zaprosił.

– Kiedy będzie najlepiej? – zapytałem.

– Towarzystwo zawsze mile widziane – odparł, gryzmoląc adres. – Tam nie ma telefonu.

To był zimowy wieczór. Padał śnieg. Kamienica, w której mieszkał, była ostatnia w kwartale, za którym ulica kończyła się ślepo na brzegu jeziora. Za oblepionym śniegiem ogrodzeniem z siatki widać było pokryte zaspami korty tenisowe, a za nimi i za przylegającym do jeziora niewielkim parkiem białe molo ciągnęło się do zielonej, świecącej stawy. Śnieg zatarł kontury chodników i krawężników, więc molo wyglądało jak przedłużenie ulicy, jakby Farwell ciągnęła się w głąb jeziora. Poszedłem w stronę stawy. Molo pokrywała lodowa skorupa urzeźbiona przez fale i wodną mgiełkę. Lód okrywał też wieżę stawy i zabezpieczające ją liny. W mroźnej ciszy słyszałem, jak kry trą o siebie poruszane wodami jeziora, i czułem drżenie mola. Kiedy wracałem w stronę kamienicy, wydało mi się, że słyszę śpiew.

Niosący się po kortach baryton zdawał się dobiegać z balkonowego okna, w którym poruszała się zasłona, jakby dając jakiś

znak. Byłem pewien, że to okno Babo. Zamiast zadzwonić do drzwi, przystanąłem na korcie i próbowałem wychwycić słowa piosenki, ale było źle słychać. Zrobiłem kulę ze świeżego śniegu – puchu nie dało się dobrze ubić – i rzuciłem nią w okno. Uderzyła w szybę z cichym „fum" i rozpadła się. Spodziewałem się, że Babo podejdzie do okna. Zamiast tego muzyka ucichła. Kiedy rzuciłem następną śnieżkę, w mieszkaniu zgasło ciemnozłote światło. W końcu wszedłem do sieni i nacisnąłem przycisk dzwonka obok nazwiska Andrei Babovitch. Żadnej reakcji. Już miałem odejść, kiedy dostrzegłem jego twarz powiększoną przez fazowane szyby w drzwiach prowadzących do holu. Kiedy drzwi się otwarły, twarz zmarszczyła się w szerokim uśmiechu, który widywałem w klasie, gdy czytał na głos wiersz – najpierw po rosyjsku, śpiewnie, a potem z wahaniem, po angielsku, z brytyjskim akcentem.

– Więc to ty – powiedział.

– Czy to dobry wieczór na wizytę?

– Zdecydowanie. Wejdź, proszę. Napijemy się herbaty. I czegoś mocniejszego na rozgrzewkę.

– Myślałem, że zgadłem, które to pańskie okno, i rzucałem śnieżkami, żeby dać znać, że jestem.

– To byłeś ty! A ja myślałem, że to jacyś chuligani się wściekli, kiedy usłyszeli, jak Szaliapin biadoli na zły los. Rosyjska opera potrafi tak działać nawet na tych, którzy nie są uzależnieni od rock and rolla. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale następna mogła być cegła, więc wyłączyłem muzykę i po ciemku położyłem się na podłodze.

– Przepraszam, nie pomyślałem. Nie wiem, czemu po prostu nie zadzwoniłem.

– Nie, nie! To byłoby niezapomniane wejście. Szkoda, że to przegapiłem, ale gdybym wyjrzał przez okno i zobaczył cię w ciemności, pewnie i tak bym pomyślał, że to chuligani – roześmiał się. – Jak widzisz, moje nerwy nie są takie, jak powinny.

Jego mieszkanie, na pierwszy rzut oka wypełnione wyłącznie książkami, ponownie rozświetliło ciemnozłote światło. Książki w różnych językach stały wzdłuż ścian, a ich stosy piętrzyły się na podłodze. Skrzynie wypełnione kolejnymi książkami robiły za umeblowanie. Pozostały po małej rosyjskiej księgarni, którą kiedyś otworzył, a potem zamknął, gdy zaczął dostawać groźby, aż w końcu pocztą przyszła bomba. Nad biurkiem przytwierdził do ściany plan Odessy, miasta nad Morzem Czarnym, w którym dorastał. Nazwy kilku ulic obwiedzione były czerwonym atramentem. Tamtego wieczoru nie spytałem, co oznaczają te czerwone kółka. Zrobiłem to później, kiedy poznałem go lepiej.

– Dobre piekarnie – wyjaśnił.

Kiedy uniwersytet nie przedłużył mu umowy, nagle się wyprowadził. Nie zdziwiło mnie to. Od czasu, gdy podczas wojny zdezerterował i uciekł do Brytyjczyków, ciągle był w ruchu. Mieszkał już w Anglii i Kanadzie i twierdził, że nigdy nie wie, gdzie będzie jego następny przystanek, ale przebywając w tym samym miejscu, prędzej czy później przypominał sobie, że to miejsce, które jest jego miejscem, już nie istnieje. Mieszkał przy Farwell, ulicy, której nazwa brzmiała niemal jak pożegnanie.

Dziś wieczorem pobiegłem Farwell w stronę jeziora. Minąłem pokryte kałużami korty tenisowe i molo z zieloną stawą. Potem biegłem pustą plażą. Fale wdzierały się na brzeg, a ja biegłem, jakby mnie gonili, trzymając się naznaczonej pianą linii wody. Moje buty wyrzucały w górę grudki piasku. Kiedy dotarłem do budynku, w którym mieszkałem, było już późno. Na korytarzach cisza, a wokół żarówek wciąż jeszcze układał się otokami dym z kolacji. W ciemności mój pokój z otwartymi oknami pachniał mokrymi moskitierami i mandarynkami.

Chopin w zimie

Tej samej zimy, kiedy Dzia-Dzia zamieszkał z nami w domu pani Kubiac przy Osiemnastej Ulicy, jej córka Marcy wróciła do domu z college'u w Nowym Jorku, w ciąży. Marcy dostała stypendium muzyczne. Była pierwszą osobą w rodzinie pani Kubiac, która poszła do szkoły średniej, nie mówiąc już o studiach.

Odkąd wróciła do domu, widziałem ją tylko raz. Bawiłem się na podeście przed naszymi drzwiami, kiedy ona weszła po schodach. Skinęliśmy głowami na powitanie. Nie wyglądała na ciężarną: bardzo szczupła, w czarnym płaszczu, z długimi blond włosami schowanymi pod srebrzysty futrzany kołnierz, który otulał jej twarz. W świetle żarówki widziałem, jak płatki śniegu topnieją na futrze, zamieniając się w kropelki wody. Była blada, a jej oczy niebieskie i jakby wystraszone, jak u pani Kubiac.

Przeszła obok, prawie nie zwracając na mnie uwagi, lecz po kilku kolejnych schodach zatrzymała się, oparła o balustradę i zapytała:

– To ty jesteś ten chłopiec, który płakał po nocach?

Jej głos był łagodny, nieco figlarny.

– Nie wiem – powiedziałem.

– Jeśli masz na imię Michael, a okno twojego pokoju jest na czwartym piętrze, zaraz pod moim, to jesteś – odparła. – Jak byłeś mały, czasem w nocy słyszałam, jak strasznie płakałeś. Twoja mama chyba tego nie słyszała, a ja tak, bo dźwięk szedł w górę.

– Naprawdę cię budziłem?

– Nie przejmuj się. Mam tak lekki sen, że budzą mnie nawet spadające płatki śniegu. Żałowałam, że nie mogę ci pomóc, kiedy w środku nocy tylko myśmy nie spali, a cała reszta chrapała.

– Nie pamiętam, żebym płakał – powiedziałem.

– Większość ludzi tego nie pamięta, jak tylko znowu są weseli. Wygląda na to, że teraz jesteś wesoły. Tak trzymaj, młody! – Uśmiechnęła się. To był piękny uśmiech. Jej oczy wyglądały, jakby były nim zaskoczone. – No to pa. – Pomachała mi samymi palcami.

– Pa! – Też jej pomachałem. Minutę po tym, jak odeszła, zacząłem za nią tęsknić.

Nasza gospodyni, pani Kubiac, schodziła do nas po południu na herbatę. Z płaczem opowiadała mamie o Marcy. Mówiła, że Marcy nie chce jej powiedzieć, kto jest ojcem. Księdzu też nie chciała powiedzieć ani w ogóle iść do kościoła. Nigdzie nie chciała wychodzić. Nawet lekarz musiał przyjść do domu, a jedynym lekarzem, z którym zgodziła się spotkać, był doktor Shtulek – pediatra, który ją leczył, gdy była dzieckiem.

– Mówię jej: „Marcy, kochanie, musisz coś z tym zrobić" – powiedziała pani Kubiac. – „Po co te wszystkie poświęcenia, ćwiczenia, lekcje, nauczyciele, nagrody? Popatrz na tych, co są bogaci. Oni nie pozwolą, żeby coś im przeszkodziło zdobyć tego, co chcą".

Pani Kubiac opowiadała to wszystko mojej mamie w największej tajemnicy, z początku konspiracyjnym szeptem, jednak w miarę jak litania kłopotów stawała się coraz dłuższa, mówiła coraz głośniej. Im głośniej mówiła, tym bardziej kaleczyła angielski, jakby zmartwienia i cierpienie były nadmiernym obciążeniem dla języka. W końcu emocje zwyciężały i zaczynała płakać, jednocześnie przechodząc na czeski, którego nie znałem.

Siadywałem poza zasięgiem wzroku, pod stołem w jadalni, i podczas gdy moi plastikowi kowboje galopowali przez las nóg krzeseł, słuchałem, jak pani Kubiac opowiada o Marcy. Chciałem usłyszeć o niej wszystko, a im więcej usłyszałem, tym cenniejszy stawał się uśmiech, którym obdarzyła mnie tam na schodach. Nabrałem przekonania, że istnieje między nami jakaś tajemna

O autorze

Stuart Dybek, urodzony w 1942 roku, dorastał w chicagowskich dzielnicach Little Village i Pilsen w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych. Studia pierwszego i drugiego stopnia ukończył na Uniwersytecie Loyoli w Chicago odpowiednio w roku 1964 i 1967, a w 1973 roku uzyskał dyplom magisterski MFA ze sztuki pisania twórczego na Uniwersytecie Iowa. Jako pierwszy pisarz został uhonorowany stanowiskiem Distinguished Writer-in-Residence na Uniwersytecie Northwestern. W latach 1974–2006 wykładał literaturę angielską na Uniwersytecie Western Michigan i nadal uczy podczas organizowanych przez tę instytucję letnich zajęć wyjazdowych Prague Summer Program. Napisał pięć książek prozatorskich – *Childhood and Other Neighborhoods*, *The Coast of Chicago*, *I Sailed with Magellan*, *Ecstatic Cahoots*, *Paper Lantern* oraz *The Start of Something* – a także dwa zbiory poezji: *Brass Knuckles* i *Streets in Their Own Ink*. Jest laureatem wielu wyróżnień literackich, między innymi Nagrody PEN/Bernarda Malamuda za „wybitne osiągnięcia w nowelistyce", Nagrody Lannana, nagrody prozatorskiej Academy Institute Award Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury, stypendium Guggenheima, Nagrody Pisarskiej Whiting, Nagrody Literackiej Harolda Washingtona, dwóch państwowych stypendiów National Endowment for the Arts oraz czterech Nagród O'Henry'ego. W 2007 roku otrzymał stypendium Fundacji Johna D. i Catherine T. MacArthurów oraz Nagrodę Rea za Opowiadanie. Jego utwory były tłumaczone na język czeski, francuski, hiszpański, holenderski, japoński, koreański, niemiecki, polski, rosyjski i włoski.

Dwa Horyzonty

Ulokowany w tej miejskiej scenerii fikcyjny świat Dybka, wciśnięty między ekspresówkę Dan Ryan a południową odnogę rzeki Chicago, mieni się różnorodnością, kryje w sobie pozostałości starego świata tworzonego przez fale zadomawiających się na South Side imigrantów z Europy Wschodniej, a jednocześnie nosi wyraźne znamiona przemian społecznych i demograficznych z lat po drugiej wojnie światowej, gdy w okolicy tej zaczęły się osiedlać rodziny afroamerykańskie i meksykańskie.

Dla bohaterów Dybka najbardziej interesująca jest wzajemna dynamika między rzeczywistością fizyczną a ludźmi, którzy traktują ją jako swoje miejsce na ziemi. „W konglomeracie fabryk, hurtowni, bocznic kolejowych, rzeki i różnych mieszających się plemion – wspomina autor – dzielnica ta nieustannie wzywała do fascynującej eksploracji, szczególnie latem". Czy to ludzie w typie babć i dziadków ze „starego kraju", czy pozornie wszechobecni „obcokrajowcy, którzy nie potrafią rozwiązać zagadki asymilacji" – ze względu na świat swego pochodzenia i wnoszone przez nich historie wszyscy oni „wyglądali w oczach niedorostków jak uciekinierzy z jakiejś upiornej bajki, stawali się częścią powłoki legend i mitu, jaką ulice pokrywają się dla dzieci". Toteż dzielnica zamieszkiwana przez postacie Dybka przybiera formę opowieści.

– fragment posłowia Johna A. Merchanta

WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA Sp. z o.o. Kraków

https://akademicka.pl

ISBN 978-83-8368-178-8

9 788383 681788